Siedem słów Chrystusa na krzyżu

> *„Albowiem ilekroć byście jedli ten chleb i ten kielich byście pili, śmierć Pańską opowiadajcie”* – 1 Kor. 11:26.

We wtorek 30 marca, gdy słońce schyli się ku zachodowi, rozpocznie się według kalendarza żydowskiego 14 dzień miesiąca nisan – dzień, w którym Izraelici opuścili Egipt. Dla upamiętnienia tego faktu, co roku, 14 dnia miesiąca nisan, każda rodzina żydowska miała zabić baranka, takiego samego jak ten, którego krew wybawiła niegdyś ich pierworodnych od śmierci z ręki anioła Morderza.

I tak, rok po roku tysiące niewinnych baranków ginęło za grzechy, których krwią zwierząt i tak nie dało się obmyć do czysta. Aż przyszedł ten, na którego Jan Chrzciciel wskazał: „Oto Baranek Boży”. Trzy lata później prorocze słowa Jana stały się faktem. 14 dnia miesiąca nisan, między dwoma wieczorami na „miejscu, które obrał Pan Bóg” umierał rzeczywisty Baranek, którego krew raz na zawsze gładziła grzech świata.

„Ilekroć byście jedli ten chleb …”. Ileż to razy na przestrzeni długich stuleci Wieku Ewangelii, duchowi Izraelici rok po roku upamiętniali uroczysty, choć smutny, nastrój wieczernika. Ileż to już razy w naszym dorosłym, poświęconym życiu czytaliśmy te wersety. Ile razy w ciszy paschalnego wieczoru sięgaliśmy po chleb i wsłuchiwaliśmy się w suchy chrzęst łamanego przaśnika. Ile razy odnawialiśmy ślub ofiarowania i wspominaliśmy śmierć wiekuistego Baranka. Czy to nie dosyć? Czy jeszcze raz mamy wspominać, smucić się i trwożyć? *„Albowiem ilekroć byście…”*. Więc nie wystarczy raz, dwa, sto, tysiąc. Aż przyjdzie, by ciało nam zmienić na nieskazitelne.

„… śmierć Pańską opowiadajcie” Są takie historie, których chętnie słuchamy, nawet i tysiąc razy. Najczęściej są to historie, które sami przeżyliśmy i które sami opowiadamy. Jesteśmy jak dzieci, które wieczorem proszą, żeby im opowiedzieć historię i to najlepiej tę znaną, tę sto razy słyszaną, tę ulubioną. Bądźmy jak dzieci. Jeśli byliśmy z Chrystusem pod krzyżem, jeśli jesteśmy z Chrystusem na krzyżu, „pogrzebieni z nim będąc w chrzcie”, to jeszcze raz chciejmy usłyszeć tę samą, starą historię, tę samą odwieczną melodię Golgaty, tę samą pieśń śmierci i samotności.

A było około szóstej godziny. Słońce stało w zenicie. W skwarze południa na skale Kalwarii rzymscy żołnierzy do wysuszonych rąk i nóg skazańca bez winy wbijali żelazo, żeby zmęczone ciało od drewna nie odpadło, żeby bolało, żeby kara surowsza, a radość motłochu większa była. Bolało. A w doskonałym ciele może i ból był doskonalszy i jeszcze bardziej bolesny.

Niebiański Ojciec chmurami oczy zasłaniał, żeby pioruny ognia Jego zapalczywości nie spaliły rzymskich wykonawców woli żydowskiego sanhedrynu. Stała się ciemność po wszystkiej ziemi, aż do godziny dziewiątej. Były to chyba najdłuższe trzy godziny w dziejach wszechświata. Trzy godziny – ileżby można było pieśni zaśpiewać, jak piękne kazanie wygłosić, ile przypowieści, ile cudów, uzdrowień. Ale to były godziny ciemności i milczenia – „oniemiał i nie otworzył ust swoich”.

Przez trzy najcięższe godziny swego istnienia Jezus przemówił siedem razy. Tylko siedem? A może aż siedem, biorąc pod uwagę ból, trudności z oddychaniem, pragnienie. A przecież trzeba do tego jeszcze dołożyć gorycz szyderstwa, smutek odrzucenia i dramat niezrozumienia.

Jezus przez trzy i pół roku nauczał. Słowo było najważniejszym narzędziem Jego misji. Słowo, które wypowiadał nie męczyło ani Jego, ani słuchaczy, bo „mówił jako moc mający”. Ostatnie kazanie Mistrza było jednak bardzo krótkie. Jego wypowiedzi zebrane razem trwały nie więcej niż minutę i składały się z około 40 słów. Przypomnimy je:

1. „Ojcze! odpuść im, boć nie wiedzą, co czynią.” – Łuk. 23:34 (8)
2. „Niewiasto, oto syn twój! (…) Oto matka twoja!” – Jan 19:26-27 (5 + 4)
3. „Zaprawdę powiadam tobie dziś ze mną będziesz w raju.” – Łuk. 23:43 (10)
4. „Eli, Eli, Lama Sabachtani!” – Mat. 27:46 (4)
5. „Pragnę” – Jan 19:28 (1)
6. „Wykonało się” – Jan 19:30 (1)
7. „Ojcze! W ręce twoje polecam ducha mojego.” – Łuk. 23:46 (8)

Przez pozostałe 179 minut krzyżowego cierpienia Jezus milczał …

Ciekawe jest to, że trzy z tych wypowiedzi zanotował jedynie św. Łukasz, trzy inne jednynie św. Jan. Mateusz i Marek zanotowali zaś tylko jedną wypowiedź Jezusa, tę, którą usłyszeli wszyscy – „Eli, Eli Lama Sabachtani”. Wielu bowiem szydziło: „Eliasza ten woła”, „patrzajmy, jeźli przyjdzie Elijasz, aby go wybawił.”

Św. Łukasz, jak wynika z jego Ewangelii, czerpał swe informacje od bezpośrednich świadków, a między innymi od Marii, matki Jezusa. Wiemy, że była ona blisko krzyża (Jan 19:25). Mogła więc słyszeć i zapamiętać

słowa Jezusa. Pod krzyżem był też św. Jan, o czym także czytamy w jego Ewangelii. Czyżby pozostali uczniowie znali te wydarzenia jedynie z opowiadań. Czy byli pod krzyżem, czy może tylko z daleka przypatrywali się, jak umiera ich Mistrz, a może i na to nie mieli odwagi. Gdzie był odważny Piotr ze swym mieczem, gdzie był roztropny Mateusz, dlaczego nie podawali Mistrzowi gąbki z napojem, gdzie się ukryli? „Takżeście nie mogli przez jednę godzinę czuć ze mną?” – pytał ich przecież zaledwie kilkanaście godzin wcześniej. Takżeście nie mogli i teraz jeszcze przez trzy godziny czuć ze mną?

A czy my byśmy mogli? Czy nasza odwaga byłaby większa, od tej, którą okazali uczniowie? A może tylko młody wiek Jana i młodzieńcza brawura kazały mu stać pod krzyżem razem z kobietami? Dzisiaj pewnie wszyscy chcielibyśmy stanąć pod krzyżem i nieść otuchę Mistrzowi w najtrudniejszych chwilach. Apostołowie też może nieraz wyrzucali sobie brak wiary. Było jednak za późno, by przyjaznym słowem ukoić krwawiące serce Mistrza.

A może jeszcze i teraz, gdy On przecież żyje, gdy wspomina tamte chwile i płacze, może jeszcze nie jest za późno, by nasze współczucie ukoiło ból krwawiącego serca? Może jeszcze nie jest za późno. Podejdźmy cicho pod krzyż i wsłuchajmy się w siedem słów płynących prosto z najczulszego serca wszechświata.

„Ojcze! odpuść im, boć nie wiedzą, co czynią.”

To prawda, że słów tych nie ma w niektórych starych manuskryptach, a inne podają go jedynie jako starożytny dopisek. Może jednak bibliści, którzy mimo to, choćby w nawiasie, ale zawsze zamieszczają te słowa w swoich wydaniach księgi Łukasza, mają jakieś słuszne powody, by tak czynić.

Wypowiedź ta pada w bezpośrednim kontekście aktu przybicia do krzyża. Czynność tę, jak podaje św. Jan wykonywali rzymscy żołnierze (Jan 19:23). Być może więc słowa te skierowane były bezpośrednio do nich, a nie, jak się czasami uważa, do Żydów. Jeśli Jezus w ogóle wypowiedział te słowa, to prosił Ojca o przebaczenie dla rzymskich wykonawców wyroku, a nie dla Żydów, którzy dla swoich grzechów odrzucili Mesjasza i wydali na niego niesprawiedliwy wyrok śmierci.

W nieco dawniejszych czasach, kat przed wykonaniem wyroku miał zwyczaj prosić skazańca o przebaczenie. To nie kat ponosił odpowiedzialność za wyrok, który wykonywał. To nie rzymscy żołnierze, którzy wykonywali rozkazy Piłata, ponosili odpowiedzialność za śmierć Jezusa. Jeden z nich, przełożony setnik, wydał nawet piękne świadectwo o Jezusie: „Zaprawdę człowiek to był sprawiedliwy”, i jak podaje tradycja został później chrześcijaninem. W ten sposób wysłuchana została modlitwa Jezusa, Bóg przebaczył człowiekowi, który ukrzyżował Jego Syna.

Kilka lat później jeden z wiernych naśladowców Mistrza w cierpieniu, pierwszy męczennik Kościoła, św. Szczepan modlił się podobnymi słowami: „Panie nie poczytaj im tego za grzech!” Św. Szczepan także prosił o przebaczenie dla swoich katów. I znów modlitwa umierającego została wysłuchana. Przywódca bandy prześladowców, Saul z Tarsu, został później przyjęty przez Boga jako apostoł Jezusa Chrystusa. Niewykluczone, że apostoł Paweł spotykał się czasami z nawróconym setnikiem i razem dziękowali Bogu za bohaterskie modlitwy swych ofiar.

„Niewiasto, oto syn twój! (…) Oto matka twoja!”

Św. Jan przekazuje nam bardzo wierny obraz ostatnich dni życia Jezusa. Choć ukrywa swą postać pod określeniem „uczeń, którego miłował Jezus”, to jednak wszyscy wiemy, że to właśnie on aktywnie uczestniczył w wydarzeniach ostatnich dni ziemskiej misji Jezusa. On też razem z trzema kobietami znalazł się blisko krzyża, gdy tylko żołnierze wykonali swą ponurą powinność. Matka Jezusa nie opuszczała go aż do ostatniej chwili. A była z nią jej siostra, także imieniem Maria, oraz Maria Magdalena, z której Jezus wypędził siedem duchów nieczystych, Maria Magdalena, która Go za to tak bardzo umiłowała. Trzem kobietom towarzyszył młodzieniec. Być może, to on właśnie ułatwił im bezpośredni dostęp do krzyża. Tak jak wcześniej wprowadził Piotra na dziedziniec arcykapłana.

Takie zbliżenie się do skazańca, nawet pomimo pozwolenia żołnierzy, na pewno wymagało wielkiej odwagi. Rozjuszony tłum, który tak bardzo i za nic znienawidził Jezusa, nie musiał się przecież okazać tak wyrozumiały, jak obojętni rzymscy żołnierze. Jezus docenił odwagę czwórki przyjaciół. Z wysokości krzyża ujrzał ich przerażone i zapłakane twarze. Nie miał już siły pocieszać. On sam potrzebował pocieszenia. Jednak bliskość najukochańszych osób dodała mu nowej siły. Jeszcze raz wyzwoliła się Jego wielka miłość. Jeszcze raz zatroszczył się o tych, których istnienie tak bardzo było od Niego zależne.

Matka Jezusa była już wtedy prawdopodobnie wdową. Jezus dobrze rozumiał, jak smutny jest los wdowy, która traci syna. Nieco wcześniej okazał to zrozumienie, gdy przywrócił do życia syna pewnej wdowy. Teraz jednak nie mógł uczynić tego dla swojej matki. Nie mógł, albo raczej nie chciał uchronić jej Syna od śmierci. Nie mógł też uczynić tego, co anioł uczynił dla Abrahama, gdy tamten niemal zabijał już swego syna. Nie było takiego baranka, który mógłby umrzeć za Niego, bo to On był Barankiem, który gładził grzech świata.

Jezus umiał jednak zawsze znaleźć wyjście z sytuacji. Nawet w tych ostatnich chwilach swego życia potrafił znaleźć w sercu uczucie, które pomogło załagodzić ból

matczynego serca, jeśli nie teraz, to przynajmniej za kilka lat, gdy rana w jej duszy przestanie już tak bardzo krwawić. Jezus dał swej matce syna, który mógł Go zastąpić w obowiązku troszczenia się o nią i miłowania jej.

Tradycja podaje, że Maria do końca swego życia była pod opieką św. Jana. Może właśnie dlatego Jan żył tak długo, bo przecież przykazanie mówiło:

> „Czcij ojca twego i matkę twoję, aby przedłużone były dni twoje na ziemi” (2 Mojż. 20:12).

„Zaprawdę powiadam tobie dziś ze mną będziesz w raju.”

Może czasami wydaje nam się, że w zdaniu tym najważniejszy jest przecinek. Dzisiaj jednak wyjątkowo spróbujmy zapomnieć o interpunkcji.

Obok Jezusa, po jego prawej i lewej stronie, ukrzyżowani zostali dwaj pospolici przestępcy. Jeden z nich dołączył do grona szyderców i narzędzi szatana: „Jeźliżeś ty jest Chrystus, ratujże siebie i nas.” To było ostatnie kuszenie Jezusa. Szatan raz jeszcze zapragnął odwieść Jezusa od posłuszeństwa Bogu. A przecież Jezus miał jeszcze moc, Bóg jeszcze go nie opuścił. Jeszcze stały w pogotowiu zastępy wojsk anielskich z obnażonymi mieczami ognia. Jakże wielką moc wewnętrzną musiał mieć ten Człowiek, Jezus Chrystus, by nie użyć mocy zewnętrznej, jeśli już nie w obronie swego życia, to przynajmniej dla ukarania szyderców. A jednak tego nie zrobił – „Któremu gdy złorzeczono, nie odzłorzeczył (…), ale poruczył krzywdę temu, który sprawiedliwie sądzi” – 1 Piotra. 2:23.

Jezus bardzo wysoko ocenił postępowanie drugiego przestępcy, który stanął w Jego obronie. „Zaprawdę, będziesz ze mną w raju”. Dotychczas jeszcze nigdy nikomu nie mówił o raju, o powrocie do doskonałości życia na ziemi. Swoje poselstwo na razie kierował On do swych naśladowców, którzy tak jak On mieli porzucić przywilej życia na ziemi. Pokutujący złoczyńca nie mógł jednak stać się członkiem kościoła. Miał umrzeć jeszcze przed zesłaniem ducha, który zapewniał spłodzenie do nowej natury. Ale i dla tego człowieka Jezus miał dobre słowo: „Będziesz ze mną w raju”. To więcej niż gdyby powiedział tak, jak do Marty: „Wstanieć brat twój”. Przecież Jezus wiedział, że powstanie z grobu stanie się udziałem wszystkich ludzi, także i drugiego przestępcy, który z Niego szydził. W sercu pokutującego przestępcy dostrzegł Jezus coś więcej, coś, co otwierało mu po zmartwychwstaniu drogę do drzewa żywota wiecznego. Pokutującemu przestępcy zawdzięczamy ostatnią naukę Jezusa o drodze zbawienia ludzkości, innej niż ta, którą podąża Kościół.

Jak można zauważyć, przytoczone trzy wypowiedzi Jezusa były jeszcze kontynuacją Jego misji miłości i przebaczenia. Jego uwaga ciągle jeszcze, nawet wśród niepojętego cierpienia, koncentrowała się na bliźnich. Jeszcze nie odwrócił oczu od cierpiącego świata, a własne cierpienie nie zasłoniło Jego nieogarniętej miłości, która kazała mu zapominać o swoim cierpieniu, a widzieć potrzeby i cierpienie innych ludzi. Czwarta wypowiedź Jezusa stanowi jednak przełom.

„Eli, Eli, Lama Sabachtani!”

„Boże mój, Boże mój, czemuś mię opuścił?” Z wysokości krzyża potężnym echem rozległo się bolesne pytanie Syna. Był to z pewnością najtrudniejszy moment w Jego całym istnieniu. Zdradził Go przyjaciel, opuścili uczniowie, nie miał już matki, którą przekazał wiernemu Janowi, a teraz jeszcze przyszło to najgorsze.

Poczucie kontaktu z Ojcem było dla Jezusa przez całe ziemskie życie źródłem spokoju i szczęścia. Nawet najgorsze prześladowania nie były w stanie zburzyć Jego pokoju wewnętrznego. Wiedział On, że choćby go wszyscy opuścili, to zawsze będzie z nim Jego Niebiański Ojciec. Jednak ten, który miał być „skuszony we wszystkim na podobieństwo nas, oprócz grzechu” musiał przeżyć i to najsmutniejsze doświadczenie – opuszczenie przez Ojca.

Zdaje się, że odtąd, nawet gdyby zechciał, nie mógł już zstąpić z krzyża, nie mógł uratować złoczyńcy, nie mógł pozbawić mowy szyderców, którzy nie znając hebrajskiego i nie rozumiejąc słów Jezusa wołali: „Zobaczymy, czy przyjdzie Eliasz, żeby Go zdjąć”. Sami nawet nie wiedzieli, że śmieją się z własnej głupoty. Jezus był słaby i bezsilny. Pozbawiony zewnętrznego dopływu nadzwyczajnej mocy szybko umierał. Teraz śmierć wyniszczonego cierpieniem ciała była już tylko kwestią minut.

W tych ostatnich chwilach największą troską Jezusa było wypełnienie do końca wszystkich szczegółów swej misji. Św. Jan pisze: „Potem widząc Jezus, iż się już wszystko wykonało, aby się wypełniło Pismo, rzekł:”

„Pragnę”

Uczucie pragnienia było dobrze znane Jezusowi, ale nawet wtedy, gdy prosił niewiastę samarytańską o wodę, to celem jego słów była kobieta i woda: „Daj mi pić” – mówił wtedy. W ostatniej chwili swego ziemskiego życia Jezus nie naucza, nie korzysta z okoliczności w celu udzielenia lekcji swym uczniom. Jego duchowy wzrok kieruje się w tym momencie wyłącznie na Niego samego, na Jego misję, która za kilka minut miała dobiec końca.

„Pragnę” to słowo, które opisuje wewnętrzny stan człowieka Jezusa na kilka chwil przed śmiercią. Poczu-

cie niedostatku i opuszczenia, którego doświadcza tak wielu ludzi na tym świecie, stało się i Jego ostatnim doznaniem w ziemskim ciele. Nigdy chyba Jezus tak bardzo nie czuł się człowiekiem. „Pragnę” to słowo określające stan najwyższego człowieczeństwa, człowieczeństwa cierpiącego, człowieczeństwa oddającego życie za bliźnich.

Nasze nogi i ręce aż się wyrywają, by podać do ust Jezusa gąbkę zmoczoną w kwaśno-gorzkim płynie, zatkniętą na długiej trzcinie. Nie było już uczniów, nie było matki, Ojciec go opuścił, został tylko rzymski żołnierz, który nie dbając na głosy szyderców podał do ust Umęczonego kroplę napoju, który nie mógł już orzeźwić wysuszonych, umierających ust. To było więcej niż „kubek zimnej wody”, który na pewno nie zostanie zapomniany w Królestwie.

Jezus skosztował napoju i z ulgą powiedział:

„Wykonało się”

Teraz był już całkowicie pewien. Jego pragnienie zostało zaspokojone. Nie pragnienie zwilżenia ust, ale pragnienie sprawiedliwości, pragnienie mocy, co się objawia w słabości, pragnienie bycia posłusznym Ojcu aż do samego końca, pragnienie niesienia ulgi umęczonej grzechem ludzkości. Teraz pragnienie Jezusa nareszcie zostało zaspokojone.

„Wykonało się” to słowo bolesnego triumfu. Jezus był całkowicie pewien, że nic już więcej nie może się zdarzyć. Wiedział, że Jego ziemskie życie dobiegło końca i żaden podstęp Szatana nie pokrzyżuje planu Bożego. Nic już nie mogło zdjąć Go z wyniosłego tronu krzyża.

„Wykonało się” – na słowa te czekał cały wszechświat. W niebie zaległa cisza. Wszyscy aniołowie wsłuchiwali się w gasnący rytm serca Odkupiciela. Cherubinowie zasłaniali skrzydłami twarze, by nie widzieć łez Niebieskiego Ojca. Starcy powstali ze stolic i pochylili się przed tronem w głębokim pokłonie.

Czarna kurtyna smutku powoli spowijała wielką scenę dramatu zbawienia świata. W sercach miliardów niebiańskich istot uczucie ulgi mieszało się z rozdzierającym smutkiem. Nie było pieśni, triumfów ani oklasków. Aniołowie z opuszczonymi skrzydłami, powoli rozlatywali się cicho po najdalszych zakamarkach wszechświata, by tam w odosobnieniu czekać na radosny poranek zmartwychwstania, ale to byłaby już inna historia.

W tym momencie Jezus z całą siłą poczuł, jak z Niego ucieka życie. Duch, który niegdyś na samym początku darował Mu osobiście Niebiański Ojciec, duch, który tyle razy udzielał ze swej obfitości cierpiącym, chorym, smutnym i głodnym, duch wracał do Boga. Oczy Jezusa zamykały się do snu. Gasnące wargi ledwie szeptały słowa psalmu:

„Ojcze! W ręce twoje polecam ducha mojego.”

Nie usłyszał już straszliwego łoskotu drżących i kruszących się skał. Nie zobaczył rozdzierającej się zasłony w Przybytku. Nie spojrzał ze łzami na przerażone twarze ludzi, który w pośpiechu opuszczali miejsce największej zbrodni wszechświata. Już nie cierpiał. Jezus spał. …

Drodzy Braterstwo! Za kilka chwil sięgniemy po przaśny chleb, który został za nas złamany. Pomyślmy przy tym ile smutku, ile bólu, ile cierpienia mieści w sobie złamany kawałek przaśnego chleba. Podzielimy między sobą kielich przymierza. Kto zliczy krople łez i cierpienia kryjące się w łyku wina. Jesteśmy przeszyci żalem. Serca nasze przenika smutek. W naszym sercu rodzi się trudna do wyrażenia słowami wdzięczność. Oto prawdziwe dziękczynienie, prawdziwa radość współuczestniczenia w wielkim dramacie zbawienia.

Dobry Panie Jezu, dzięki Ci za Twe cierpienie i za ofiarę Twego doskonałego życia. Amen.

Kaleta Daniel
R-
„Straż”